

FRANCISZEK GÓRZAŃSKI

Zostałem aresztowany 7 października 1940 r. w nocy, ok. godz. 24.00. Przyjechało po mnie i jeszcze po kilku innych moich znajomych, czterech milicjantów.

Milicja składała się przeważnie z naszych, tzn. z polskich Żydów, którzy po większej części przyczyniali się do aresztowań.

Osadzono mnie w areszcie w Budzanowie, pow. Trembowla. Siedziałem tam siedem dni, przeprowadzali śledztwo, gdzie dostawałem w skórę moc pałek, a jedzenie dali dopiero na trzeci dzień. Grożono mi długoletnim więzieniem za to, że nie dawałem im zboża i nie chodziłem na ich odczyty konstytucyjne (zaliczono mnie do wrogów ich narodu) i za to, że należałem do Związku Strzeleckiego.

Później pod eskortą siedmiu milicjantów odwieziono mnie do więzienia w Czortkowie, gdzie przeprowadzano dalsze śledztwo. Umieszczono nas po 50 osób w maleńkiej celi, gdzie nie można było nawet poruszyć się. Dawano dziennie 300 g chleba i dwa razy słonej wody z ryby. Pewnego dnia zawołano mnie do ustępu, przyszedł jakiś ich naczelnik i odczytał wyrok, że zostałem skazany na pięć lat więzienia oraz konfiskatę gospodarki i pozbawienie praw obywatelskich na dziesięć lat.

Zaraz po kilku dniach po wyroku załadowano nas na auta i przywieziono na stację, kazano nam siadać na śnieg i czekać kolejki załadowania się. I tak siedzieliśmy ok. trzech godzin zanim przyszła kolej na nas. Byliśmy na stacji w wagonach sześć dni, bo oni jeszcze robili obławy celem dopełnienia transportu.

Przez te sześć dni dano po dwie ryby i dwa kilo chleba na dziesięć osób, a wody nic. Ustawiono na wagonach karabiny maszynowe i ruszono w drogę, a co drugą stację sprawdzano, czy wszyscy [są]. Wieziono nas trzy tygodnie i przywieziono do Kujbyszewa. W drodze dawano tylko słoną rybę, pół kilograma chleba dziennie i wiadro wody na 50 osób. W wagonach nie było żadnego ogrzewania, dużo zamarzło na śmierć. Pić się chciało ogromnie, to zbieraliśmy śnieg, który poodpadał od butów przy wejściu do wagonów, bo na *prowierkę* wyganiano na pole i po jednemu wpuszczano z powrotem.

W Kujbyszewie musieliśmy pracować na budowie fabryki samolotów. Pracowało tam ok. 60 tys. Polaków. Ja wyciągałem kamienie z rzeki Samary i z tego w tym czasie byłem zadowolony, bo w rzece było [dużo] raków, to my łapaliśmy ich i zaraz na patyk i do ognia, upiec go i dalej wcinać.

Drożyzna była ogromna, porcja chleba 700 g kosztowała 50 rubli. Więc wszystko wyprzedałem na chleb, a jeszcze do tego, kto chodził w dobrym ubraniu lub butach, to go w nocy napadli ich sowieccy *zakluczeni*, których była ogromna ilość, zdarli ubranie lub buty, a właściciela drągiem po głowie i hulaj na tamten świat.

Paliliśmy trawę w papierze od worków cementowych, bo tytoniu trudno było dostać i gazety kawałek, o bibułce nie chcę już wspominać.

Dopiero aż we wrześniu [1941 r.] zwolniono Polaków z roboty na mocy układu polsko-sowieckiego, więc szliśmy zadowoleni i uradowani, że skończyło się udręczenie i poniewierka, i że będziem w szeregach swej armii, by kuć drogę ku swemu krajowi.